

Jan PROKOP

„RAPORT Z OBŁĘZONEGO MIASTA” PO (PRAWIE) DWUDZIESTU LATACH

Raport... Herberta czytamy więc dzisiaj z niejakim rozchwianiem świadomości, niepewni, co jest (i co było) właściwie „grane”. Oto śmiertelnie poważna walka w obronie najwyższych wartości prowadzi do „happy endu”, gdy zwaśnione strony zasiadają do zgodnego spożywania kapitalistycznych darów (okrągłego) stołu, a zwyciężeni komuniści przepoczwarzają się w zwycięskich (socjal)demokratów.

Raport z oblężonego Miasta ukazał się w „Zapisie” w roku 1982, niedługo po wprowadzeniu stanu wojennego przez generała W. Jaruzelskiego. Można uznać go za literacką klamrę zamykającą pierwszy etap solidarnościowego ruchu oporu. Klamrą otwierającą, a więc sui generis zapowiedzią tego, co się wydarzy, zapowiedzią rozpadu komunizmu, wypadaloby nazwać *Małą apokalipsę* Tadeusza Konwickiego z roku 1979.

Poemat Herberta zaprasza do dwupoziomowej lektury. Zrazu wydaje się zmitologizowanym skrótem naszych dziejów, zaprezentowanych według klucza mesjanistyczno-martyrologicznego: otoczone wrogami Miasto wydaje się być czytelną figurą Polski broniącej się przed zalewem barbarzyństwa; walka jest zapewne beznadziejna, ale – w imię wierności wyznawanym pryncypiom – musi być toczona „do ostatniego naboju”. Jerzy Kwiatkowski swoje studium o *Raporcie...* nazwał przed laty „polskim archetypem oblężenia”¹. W horyzont intertekstualny *Raportu...* wchodzi niewątpliwie H. Sienkiewicz, ale też J. Conrad (*Lord Jim*) i A. Camus (*Dżuma*) z zasadą wierności do końca, bez względu na zwycięstwo czy klęskę. Odkryjemy w nim tradycyjny patriotyczny palimpsest nakazujący złożyć w ofierze życie dla świętej sprawy Ojczyzny, odczytamy także imperatyw obrony ponadnarodowych imponderabiliów – ludzkiej godności i wolności, których Polska jako antemurale christianitatis była z dawien dawna rzeczniką: „Warszawa jedna twojej mocy się urąga” – czytamy w *Reducie Orдона*.

Ale u fundamentów przedmurza tkwi u Herberta antyczny, grecko-rzymski model cnoty stoickiej (Marek Aureliusz), niezłomnej virtus, tak żywy w oświeceniowym, przedromantycznym pokoleniu Kościuszki i Niemcewicza.

¹ J. Kwiatkowski, *Polski archetyp oblężenia*, w: *Magia poezji*, wybór M. Podraza-Kwiatkowska, A. Łebkowska, Kraków 1995.

Oblężone Miasto to symbol najwyższych wartości zachodniej, chrześcijańskiej cywilizacji, zagrożonych przez kolejne najazdy barbarzyńców: Gotów, Tatarów, Szwedów, pułków carskich. Rozpoznajemy w tym wyliczeniu „odwiecznych” wrogów Polski, którzy są także wrogami kultury. Jednak nawet całkowita zagłada Miasta nie oznacza klęski imponderabiliów, ich przetrwanie bowiem nie zależy od materialnych sukcesów, ale od wierności sprawie – nawet gdyby ocalał tylko jeden obrońca, poniesie on dalej przesłanie tych, którzy padli w boju. Tak głosiły starożytne przykłady: „Przechodniu powiedz Sparcie, tu leżym jej syny, prawom jej do ostatniej posłuszni godziny”. Oto od jakich mistrzów uczą się bohaterowie Herbertowskiego poematu wychowani na zasadach rycerskiego honoru Rolanda i stoickiej cnoty Marka Aureliusza, zapisanych w fundamentach Europy.

Ale obrona imponderabiliów nie jest po prostu kolektywnym zrywem, łatwym wybuchem entuzjazmu mas. Przeciwnie, wymaga jednostkowego, osobistego męstwa. Oto najtrudniejsza próba wierności. Obrońcy Miasta na taką najwyższej miary próbę są wystawieni. Nie wszyscy zresztą wytrwają.

Broniąc uniwersalnych wartości naszej kultury czynimy to zatem w osamotnieniu, opuszczeni przez sojuszników, przez „sprzymierzeńców za morzem”². Wiadomo, że ci, których „dotknęło nieszczęście są zawsze samotni”. Syndrom porzucenia przez tych, w których obronie ginimy, a więc syndrom szczególnego, wyjątkowego losu Polaków zapomnianych przez Europę – syndrom jałtański, ale nie tylko jałtański – należy do najczęściej nawiedzających naszą pamięć historyczną.

Stąd temat niewdzięczności owych „sprzymierzeńców za morzem”, podkreślający naszą bezinteresowność – oto umieramy dla wspólnej, narodowej i ponadnarodowej sprawy, chociaż bez nadziei zwycięstwa ani nagrody. Jakże daleko od rycerskiego ethosu obrońców Miasta do wyrachowanego pragmatyzmu gotowych do zdrady „kupców korzennych”, zapewne dość bliskich duchem „kalkulatorskiej”, kupieckiej mentalności ślących nam worki mąki „sprzymierzeńców za morzem”. I w obrębie Miasta znajdują się zdrajcy, i ta gorzka próba nie zostanie oszczędzona jego obrońcom – „twarz zdrady” we własnych szeregach.

Oblężone Miasto jako znak, symbol polskiego losu, to interpretacja narzucająca się w sposób oczywisty czytelnikowi obeznanemu z polską mitologią narodową, chociaż w poemacie Herberta słowo „Polska” nie pojawia się ani razu. Zwłaszcza czytelne są sygnały podkreślające ową sojuszniczą niewdzięczność oraz szczególność, wyjątkowość losu oblężonego Miasta. Oto nawet dzieci nasze są inne:

² Wszystkie cytaty z wiersza *Raport z oblężonego Miasta* pochodzą z tomu Z. Herberta, *Raport z oblężonego Miasta i inne wiersze*, Wrocław 1992.

nasze dzieci nie lubią bajek bawią się w zabijanie
na jawie i we śnie marzą o zupie chlebie i kości
zupełnie jak psy i koty

Swoiste odczłowieczenie wynika z wyjątkowo nieludzkich doświadczeń, które przeżywamy (czytaj: tylko my przeżywamy).

Specyfika naszej sytuacji utrudnia empatię. Przekazanie przeżyć okazuje się czymś niemal niemożliwym. Z jakże trudnym zadaniem boryka się więc narrator-kronikarz wydarzeń. Jak opowiedzieć o czymś, co tak bardzo odbiega od codzienności szczęśliwego świata zachodniego? Jak powstrzymać się od nadmiaru emocji, od zbędnego komentarza, aby nie znudzić cierpiętniczą monotonią i nie zrazić słuchacza, który nie dzieli z nami wciąż odnawiającej się, beznadziejnej walki z zalewem barbarzyństwa? Niezrozumienie i osamotnienie, oto gorzka nagroda dla oddanych Sprawie. Ale, powtarzam, ich wierność nie załamie się nigdy, nawet gdyby Miasto upadło i gdyby ocalał tylko jeden z nich:

on będzie niósł Miasto w sobie po drogach wygnania
on będzie Miasto

Paradoksalnie, kruchość „nośnika” („jeśli ocaleje jeden”) podkreśla niezwykłą moc imponderabiliów, które zostaną ocalone, a zarazem niezłomność owej „kruchej” jednostki niosącej na swoich barkach ciężar Miasta. Niezłomność ta jest poniekąd akcentem końcowym – mimo upokorzeń i klęski, trwa niezmiennie jako ów ogień niegasnący: „sny nasze” nie zostaną upokorzone.

*

Narrator-kronikarz opowieści o oblężeniu i obronie mitycznego Miasta podkreśla trudności zadania, które przypadło mu w udziale: przekazać wieść o samotnej, beznadziejnej walce, prowadzonej mimo nieuniknionej klęski osobistej. Pamiętamy, że poczuciem takiej – dyskretnie wyrażonej goryczy tragicznego losu wypełnione były poezje T. Gajcego czy K. K. Baczyńskiego, ale już wcześniej mówił o niej wiersz Mickiewicza *Do Matki Polki*. Osamotnienie jako los obrońcy imponderabiliów przekłada się na niemożność pełnego zakomunikowania postronnym tak szczególnego doświadczenia tragiczności:

ci których dotknęło nieszczęście są zawsze samotni
obrońcy Dalajlamy Kurdowie afgańscy górale

Trudność przemawiania do wyobraźni ludzi nie dotkniętych podobnym losem, a więc do obojętnych świadków cudzej tragedii, wyeksponowana jest

w autokomentarzu opowiadającego, w retoryce samej narracji („wiem monotonne to wszystko nikogo nie zdoła poruszyć”). Retoryka ta oparta jest zresztą na wyborze częstego u Herberta kolokwialnego tonu wypowiedzi, który sygnalizuje spontaniczność mówiącego. Uwyrażnia to wyjątkowość opisywanych zdarzeń: wymykają się opisowi, stają się trudno przekazywalne, a jednocześnie ton niektórych fragmentów opowieści wycisza możliwe echa postromantycznej grandilokwencji, dość często kompromitującej poezję patriotyczną.

Czy w tej stale podkreślanej szczególności „polskiego losu” należy widzieć przejaw swoistego polonocentrycznego wiktymizmu oraz pretensje do otaczającego świata, że tej szczególności nie dostrzega? A więc samoizolację? Czy oskarżamy „szczęśliwą Europę” o niezdolność do empatii, do współodczuwania? Tworzymy podział na my i oni? Ofiary (my) i obojętni widzowie (oni)? Czy jest tu obecny polski kompleks wobec Zachodu, syndrom niższości – wyższości, cierpiętnictwa i ofiary, wyszydzony groteskowo przez S. Mrożka w *Monizie Clavier*, a ongiś poetycko uwielbiony przez romantyków? Do kompleksu tego przyczyniają się posyłający nam „mąkę worki otuchy tłuszcz i dobre rady”, współczujący – niewystarczająco współczujący – sprzymierzeńcy, którzy wszakże „nie przeżyli długiego jak wieczność oblężenia”. A więc taka byłaby nasza inność nie do przewyciężenia, nie do przekazania („zapisuję – nie wiadomo dla kogo”)? Każdy cierpiący naród jest samotną wyspą, jego los, jego dramat jest niekomunikowalny, jak to w innym kontekście czytamy w *Trenie Fortynbrasa*: „żyjemy na archipelagach / [...] a te słowa cóż mogą cóż mogą książę”³.

Ponad „polską lekturą” wiersza można jednak, jak wcześniej wspomniałem, czytać go na wyższym poziomie uogólnienia. Miasto, które było figurą Polski, niezłomnie, bohatersko, choć bez fanfar walczącej z losem, staje się wtedy figurą człowieka – symbolem cywilizacji i jej oporu przeciwko niszczącym siłom barbarzyństwa. Tak pada Bizancjum pod ciosami azjatyckich najeźdźców, lecz myśl grecka zostaje ocalona i przeniesiona do renesansowego Rzymu przez kilku wygnańców. „Plus ratio quam vis” czytamy na drzwiach sali senackiej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Podobnie trzcina myśląca u Pascala potężniejsza jest niż brutalna przemoc wszechświata. Przekonanie o wyższości imponderabiliów nad ślepią siłą jest cechą charakterystyczną cywilizacji zachodniej, która wyznaje przekonanie o istnieniu nienaruszalnej godności osoby ludzkiej, odrzucając program „ubestwienia” realizowany przez ideologie totalitarne, zrodzone na gruncie barbarzyńskich, azjatyckich despotii, od Kserksesa i Dżyngis-Chana po Iwana Groźnego i Józefa Stalina oraz jego mniej lub bardziej wiernych sukcesorów (jak L. Breżniew czy W. Jaruzelski). Przypomnijmy, że *Raport z oblężonego Miasta* powstał jako bezpośrednia reakcja poety na wstrząs, którym było wprowadzenie stanu wojennego w grudniu 1981 roku.

³ Z. H e r b e r t, *Tren Fortynbrasa*, w: tenże, *Poezje*, Warszawa 1998, s. 266.

Ale owa wojna z narodem – ów nagły przyływ absurdalnej przemocy: pacyfikacja strajków (m. in. w kopalni „Wujek”), masowe aresztowania, czołgi na ulicach, paraliż całego kraju, wyczuwalne w wierszu Zbigniewa Herberta – może przekładać się także na ponadnarodowy poziom mitycznego starcia cywilizacji i barbarzyństwa, starcia, którego terenem stał się zwłaszcza wiek dwudziesty. Wiek Holokaustu i Gułagu, wiek Oświęcimia i Kołymy. „Oblężone Miasto” to bowiem nie tylko Polska, to także dziedzictwo europejskiej duchowości grecko-rzymskiej i chrześcijańskiej broniącej godności człowieka wobec odczłowieczających go totalitaryzmów. Los Polski jawi się jako jeden z epizodów wielkiej batalii o ocalenie kultury ludzkości. Czy *Raport...* nabiera zatem znaczenia ponadpartykularnego, odrywa się od konkretnego wydarzenia z naszych dziejów (stan wojenny), a wręcz od „monotonnej” serii powtarzających się polskich nieszczęść, by stać się nośnikiem ogólnoludzkiego, ponadczasowego przesłania? Czy przekształca się w wielką metaforę, w symbol, w mityczną opowieść o bojach człowieka z zalewem przemocy? Opowieść czytelną dla wszystkich? Jak *Dżuma* Camusa?

Wspomniałem na początku o możliwym zestawieniu *Raportu...* z *Małą apokalipsą* Konwickiego. Te dwa znamienne teksty, mimo oczywistych różnic gatunkowych (wiersz i powieść), stanowią sui generis klamrę, otwierają (Konwicki) i zamykają (Herbert) polski „Sturm und Drang”, okres antykomunistycznej „burzy i naporu” rozpoczęty strajkiem gdańskim, a zakończony stanem wojennym. Powieść Konwickiego sytuuje się zresztą poprzez swój groteskowo-autoironiczny klimat na antypodach *Raportu z oblężonego Miasta*. Jednak korzeniami sięga również do polskiego mitu ofiary za ojczyznę. Oto narrator, mimo groteskowych arabesek, mimo ironicznych min i grymasów, podejmuje „archetypiczną” polską rolę cierpiącego za miliony Konrada czy Kordiana-Winkelrieda: idzie spalić się pod Pałacem Kultury na znak protestu przeciwko łamaniu praw człowieka w Polsce. Konwicki zaciekle niszczy to, co mogłoby monumentalizować powstającą (KOR-owską) opozycję, jej przedstawiciele są bezlitośnie deheroizowani, odzierani z mitycznej aureoli kombatantów, podobnie zresztą jak i autobiograficznie stylizowany narrator, co przydaje powieści „czarnego”, niemal nihilistycznego kolorytu. Rozpadający się świat PRL-owskiego komunizmu degraduje, zarażając wirusem zgnilizny, całą przedstawianą rzeczywistość. Jest ona głęboko skażona we wszystkich niemal swoich przejawach – od krajobrazu począwszy po realia codzienności: rozpad miejskiej infrastruktury i zapijaczonych bohaterów. Heroizm finalnego gestu narratora jest więc głęboko ukryty pod błazeńskim grymasem. Grymas ten powleka wszystko szyderczą, by tak rzec, ontologiczną bylejakością, na pozór nie pozostawiając miejsca na rolę tragiczną, na rolę bohatera.

*

Jak po dwudziestu latach, w epoce mody na ludyczne, zabawowe postmodernizmy, skutecznie podkopujące, „dekonstruujące” wszelkie próby pisarskiego zaangażowania w służbie idei, odczytujemy oba te dzieła, powstałe w klimacie tak odmiennym od dzisiejszego? Ich „sytuacja wypowiedzenia” była radykalnie różna od dzisiejszej „sytuacji odbioru”. Historycznie określone napięcia emocjonalne towarzyszyły lekturze *Małej apokalipsy* poniekąd sprzyjając jej „kultowemu” odbiorowi. Oto powieść znanego pisarza atakuje frontalnie system i to poprzez jego bezlitosne ośmieszenie, poprzez ogołocenie go z wszelkich śladów potęgi i prestiżu – w gruncie rzeczy komunizm nie budzi już strachu, niczym zdychające monstrum, chociaż potrafi jeszcze być dokuczliwy. A jednocześnie jest to powieść ukazująca pod groteskową, zabawową powłoką gotowość ofiary według najlepszych insurekcyjnych, a w gruncie rzeczy romantycznych wzorców. Nihilistyczny aspekt powieści wydaje się być jedynie autorskim chwytem, który ma wstydliwie osłonić i ochronić poakowską irreudentę – bunt pokolenia KOR-owców, z Janem Józefem Lipskim na czele. Czytając dziś *Małą apokalipsę* wyraźniej ujrzymy migotliwą, by nie rzec postmodernistyczną, wieloznaczność.

W całkiem innej, uroczystej tonacji o honorze i „wierności sprawie” mówił Herbertowski *Raport...* powstały tuż po szoku stanu wojennego, gdy rozkładający się system zebrał siły i pokazał dość wysoką sprawność totalitarnego „barbarzyńcy”. Wtedy to „obrona trwa i będzie trwała do końca” mimo „najgorszej ze wszystkich – twarzy zdrady”.

Natomiast dzisiaj, gdy bohaterowie ówczesnego podziemia fraternizują się z bohaterami stanu wojennego: Zbigniew Bujak gra w tenisa z oficerem SB, który go śledził, a Witold Kulerski koresponduje przyjaźnie z generałem Jaruzelskim na łamach „Nowej Polski” (ten ostatni zaprzyjaźnił się zresztą również z Adamem Michnikiem), to, co wydawało się albo kloaką rozkładu (Konwicki), albo obliczem odwiecznej grozy barbarzyństwa (Herbert), zdaje się ewoluować w kierunku „koleżeńskiego śniadanka” przypominającego bankiet słynnych przedstawicieli trzody i ludzi w zakończeniu Orwellovskiego *Folwarku zwierzęcego*. A zatem „śmierć frajerom”, którzy tamtą wojnę z komunistycznym totalitaryzmem i jej perypetie brali na serio ryzykując nieraz życiem, a bardzo często zwykłym ludzkim bezpieczeństwem, utratą pracy, szykanami, narażaniem się na pełną inwencji złośliwość służb specjalnych? Wszystko to byłoby tedy jedynie epizodem umiejętnie rozegranego spektaklu? Biada tym, co uwierzyli w jego autentyczność?

Raport... Herberta czytamy więc dzisiaj z niejakim rozchwianiem świadomości, niepewni, co jest (i co było) właściwie „grane”. Oto śmiertelnie poważna walka w obronie najwyższych wartości prowadzi do „happy endu”, gdy zwaśnione strony zasiadają do zgodnego spożywania kapitalistycznych darów

(okrągłego) stołu, a zwyciężeni komuniści przepoczwarzają się w zwycięskich (socjal)demokratów.

Innymi słowy recepcja *Raportu...* wydaje się poniekąd uzależniona od naszego obrazu stanu wojennego, od tego, czy opór wobec niego pozostanie mitem fundatorskim Polski Odrodzonej, a więc Nowym Początkiem, czy też ulegnie degradacji, dekonstrukcji – redukcji do niepoważnego epizodu w dziejach przemian elit peerelowskich jakoby od zawsze tęskniących do demokracji, niepodległości i wolnego rynku. Czyżby zatem poeta dał się zwieść pozorom uznając za mityczny bój Światła i Mroku coś, co było zaledwie chwilowym *qui pro quo*? Bohater podziemia okazał się nie-bohaterem, wróg – spolegliwym kontrahentem, a bój odwieczny – chwilowym nieporozumieniem?

Wyobraźmy sobie, że nagle dowiadujemy się, że proces filomatów miał na celu ocalenie polskiej substancji narodowej przez carską policję, że Tomasz Zan usatkwawszy się osiada jako totumfacki w pałacu sympatyka polskich uniwersytetów Nowosilcowa, a Joachim Lelewel drukuje ciepłe wspomnienia o dyskusjach na temat gminowładztwa prowadzonych z jego zwolennikiem, Wielkim Księciem Konstantym. Czy taka rewizja historycznych okoliczności zmieniłaby *Dziady*, *Redutę Orдона*, *Kordiana* w teksty budzące uśmiech późnych wnuków?

Wątpliwości dręczą coraz mniej licznych świadków wydarzeń ponurego grudnia 1981 roku.